

Kristin Cast

Bursztynowy dym

Ze swego miejsca w głębi podziemnego świata Furie, Córy Nocy, wzywają syna. Są to skrzydlate szkielety, zgarbione i drżące, pokryte cieńką warstwą czarnego gnijącego ciała, które jest tylko workiem, torbą na potężne, ohydne zdolności.

– Przybądź, Alekoss...

Narodził się przed wiekami z łona zemsty, poczęty przez zazdrość, wychowany w nieprzerwanym gniewie. Powstały dla ochrony śmiertelnych, wysłany został ze swej podziemnej siedziby do świata ponad nią i tam, z dala od trucizny, nauczył się współczucia. Najpierw tyle tylko, by naśladować, by się nie wyróżniać, lecz później po wiekach, człowieczeństwo stało się jego naturą. Furie nie rozumiały swego zbłąkanego syna, człowieka, który dorósł ponad nimi i z daleka od nich

Pojawia się Alekos. Jego herkulesowe ciało lśni od trudów zstąpienia, powrotu do domu.

– Tak, matki?

Schodzi ze skalnej półki, na którą go wezwano. Nogawki porwanych dzinsów wloką się po duszach skazanych; depcze je, zmierzając w stronę trzech skrytych w cieniu stworów. Słyszy szelest skrzydeł, którymi poruszają z radości na jego widok. Wprawdzie był tu zaledwie trzy tygodnie temu, one jednak nie widziały go od lat. Pod ziemią czas biegnie powoli. Jest już blisko, chwytają go delikatnie i prowadzą dalej w nicość, dalej od jęków cierpiących w męczarniach.

– Sssiadaj – rozkazują.

Siada. Nogi kładzie nonszalncko na stole.

– Im dłużej pozostajesz na górze, tym obrzydliwszy i bardziej ludzki się stajesz – mówią niewyraźnie, zgrzytliwie; głosy wydobywają się z ich gardeł, jakby trzy były jednym.

Zdejmuje stopy ze stołu, strzela z palców. Rozbłyskują oliwne lampki, rozświetlając jaskinię wilgotną, śmierdzącą zgnilizną, chaosem i śmiercią.

Trzy postacie tulą się do siebie, wpatrzone w syna ponad prymitywnym kamiennym stołem, na którym stoi bukiet kwitnących nocą kwiatów powoju w delikatnym kolorze dziecięcego ciała. Powoli zaczynają się kołysać w przód i w tył, jakby były jedną osobą, nie trzema. Oczy mają czarne, niezgłębione, płaczące krwią torturowanych. Węze w ich włosach to atakują się nawzajem, to pieszczą.

– Fata zdecydowały. Jej przewód zostaje dziś przecięty.

Powiedziały to jak jedna, lecz teraz ich głosy rozdzieliły się i nawzajem

uzupełniały swe myśli.

- Muisz ją odnaleźć...
- ...dać jej życie...
- ...ocalić ją...
- ...by mogła...
- ...dać nam...
- ...zemsstę...

Furie mlaskają głośno rozbawione, a jego umysł zalewają obrazy pięknej kobiety: długie, kasztanowe włosy, czekoladowoczarne oczy, oliwkowa cera, czarna suknia. Wybrali ją dla niego. Alekos mruga. Wstaje. Wie, że jest tu tylko po to, że został wezwany, by otrzymać dar misji. Teraz ma odejść i po raz pierwszy od stuleci jest zdenerwowany i podniecony. Żyje.

- Dziękuję, matki. - Kieruje się do wyjścia. - O Furie, matki moje. - Odwraca się, widzi, że nadal się chwieją. - Gdzie ją znajdę? Zamykają czarne bezdenne dziury swych oczu, chwytają się w mocnym uścisku i wysyłają swego nazbyt pięknego syna we współczesny świat, a ich skrzek jest jednocześnie pożegnaniem.

„Stań i spójrz, a zaczniesz się dziwić, dlaczego jesteś tu, a nie tam”. *

Melodyjny głos Ryana Teddera, wydobywający się z mego czarnego telefonu komórkowego, obudził mnie z bardzo mi potrzebnej drzemki. Pomacałam nocny stolik w poszukiwaniu okularów, lecz nie odniosłam sukcesu. Ślepa jak nietoperz zrezygnowała z odczytania z wyświetlacza, kto dzwoni. Po prostu przyjąłam rozmowę.

w oryginale "Stop and stare, you start to wonder why you're 'here' not there(...)"(One republic) Przypis ode mnie:)

- Halo?
- O mój Boże, Jenna, spałaś? - Denerwujący głos przeniósł mnie ze świata marzeń, w którym żyłam przyjemnie i niespiesznie, rzucił mnie w rzeczywistość.
- Bridget? Nie, skąd, kto mówi o śnie – udałam ożywioną.
- Doskonale. No wiesz, właściwie dzwonię tylko po to, żeby ci przypomnieć, że masz przynieść aparat. To hotelowe party Taylora zapowiada się wspaniale. Po prostu nie mogę się doczekać. Ostatnia klasa to taka świetna zabawa! Co włożysz?
- Nooo...chyba czarną sukienkę bez ramiączek i nowe złote pantofle mamy. Bridget westchnęła głośno.
- Nie gadaj! Te na wysokich obcasach z jednym paskiem? Od Saksa? To nie w porządku! Mamy wyglądać rewelacja, jak zwykle. Hej czekaj, mama na mnie krzyczy. - Odsunęła słuchawkę od ust, usłyszałam jak żali się na coś do matki. - W porządku – powiedziała

do mnie – mama chce tylko, żebym ci przypomniała o telefonie komórkowym. Miej go przy sobie, bo ten obrzydliwy seryjny morderca znów kogoś zabił. Też mi coś, w końcu, Jezu, jest przecież seryjnym mordercą. Przepraszam, ale ona jest dziwna i strasznie nadopiekuńcza. Tak czy inaczej lecę, muszę kończyć robić się na bóstwo. Do zobaczenia w „Ambasadorze” o dziesiątej. Ściskam... i nie zapomnij o cyfrówce!

Przerwała połączenie. Jak może być zawsze taka szczęśliwa? Wstałam, przeciągnęłam się, znalazłam okulary. Leżały na podłodze obok nocnego stolika. Popatrzyłam na zegarek. Za trzy ósma. Do diabła, nie mam czasu na prysznic. Nadal śpiąca przebyłam dystans półtora metra dzielący łóżko od łazienki utrzymanej w barwach oceanu. Usłyszałam, jak mama krzyczy ze swego pokoju na dole: „Jenna! Nie wiesz, gdzie są moje nowe złote pantofle, te z paskiem? Ledwie je kupiłam, a już tajemniczo zginęły”.

Weszła do mojego pokoju, rozejrzała się dookoła.

Wystawiłam głowę z łazienki i włosy oczywiście opadły wprost na pastę do zębów właśnie wyciśniętą na szczoteczkę.

- Mamo! Jeśli zamierzasz i tak tu przyjść, po co krzyczysz z dołu?
- Bo to oszczędza czasu. Którego nie mam w nadmiarze. Paul przychodzi za... - spojrzała na zegarek - ...za niespełna godzinę.
- No więc niestety, nie. Nie widziałam ich. Przepraszam.

Właściwie nigdy nie kłamię matce, za łatwo udaje się jej mnie złapać, ale to była sytuacja wyjątkowa. Moje pierwsze party w ostatniej klasie liceum, musiałam przecież wyglądać wyjątkowo. No i mogłam się założyć, że Paul już widział te pantofle. Chodziła z tym głupawym przedsiębiorcą pogrzebowym od jakiś sześciu miesięcy. Poza tym złoto jest modne, każdy wam to powie.

- Tak? Słuchaj, powiedz mi, jeśli je gdzieś znajdziesz. - Mama nie patrzyła na mnie, przeprowadzała wzrokową inspekcję pokoju.
- Jasne, oczywiście. Westchnęłam i bardzo starałam się niczym, zwłaszcza tonem głosu nie zdradzić, że się spieszę, że znów jestem spóźniona. Wsadziłam szczoteczkę do ust. Mama się odwróciła, ciemne włosy zatańczyły na jej ramionach i nagle stała się o wiele młodsza, nie była już czterdziestoparoletnią mamuszką. Zatrzymała się przy drzwiach.
- I Jenn... nie zapomnij gazu pieprzowego. Stoi przy frontowych drzwiach.

O Boże, gaz pieprzowy. W tym roku chciałam być popularna, a groziło mi, że zasłynę jako „ta z gazem pieprzowym przy sobie”.

Skończyłam myć zęby. Założyłam szkła kontaktowe. Popatrzyłam w lustro na rozczochrane włosy. Zdecydowałam się na fryzurę formalną, lecz swobodną. Zebrałam włosy dłońmi, chcąc związać je w niski koński ogon, ale w tym momencie w pokoju znów zabrzmiał głos uroczego Ryana Teddera. Spięłam włosy, spojrzałam na umywalkę; przy niej położyłam komórkę. Connor! Głupkowaty uśmiech, rozczochrane włosy koloru piasku, szare oczy...na myśl o nim ścisnęło mnie w żołądku.

- Hej! - powitałam go możliwie obojętnie. Udawałam, że wcale nie jestem podniecona.
- Cześć. Już myślałem, że nie odbierzesz. Co robisz?
- Nic.

Przewróciłam oczami. Nic? Aż taka jestem niezdarna?

- A tak, to wspaniale. Chciałem tylko spytać, czy wybierasz się dziś na party, no wiesz, Taylora. Będzie DJ, a jego starszy brat ma zadbać o piwo, wódkę i w ogóle, więc może być strasznie fajnie. Pewnie, że się wybieram. Przecież to nic takiego, tylko najważniejsze wydarzenie towarzyskie w tym semestrze.
- No...może? Chyba tak. Wpadniemy tam z Bridge. Na chwilę.
- Świetnie. Więc będę cię wypatrywał.
- Wypatruj. Do zobaczenia.

Skończyłam rozmowę, bo gdybym jej nie skończyła, zaczęłabym bełkotać i opowiadać mu, że jestem w nim śmiertelnie zakochana. Mój Boże, czy on musi być taki wystrzałowy?

Zwalczyłam pokusę zadzwonienia, histerycznego wyzwierzania się jej z tego, jakie to wspaniale, że Connor sam do mnie zadzwonił, i tylko podeszłam do szafy niesiona falą uroczych myśli o prawie moim chłopaku. W szafie wisiała moja koktajlowa sukienka Blaszanego Dzwoneczka. Wykopałam urocze, złote pantofelki spod stosu ubrań. Niestety mama wybrała właśnie tę chwilę na udowodnienie mi, że jej radar nie rozlegulowuje się z wiekiem. Na szczęście zapukała do otwartych drzwi, dała mi ułamek sekundy. Aż podskoczyłam.

- Mamo!

Obróciłam się, usiłując przywołać na wargi niewinny uśmiech.

- Tym razem nie krzyczałam z dołu. Uch! - Mama popatrzyła na stertę ubrań którymi maskowałam jej pantofle. - Nie powiesz mi, że na wasze dzisiejsze małe spotkanie chcesz włożyć coś noszonego?
- Nie, mamo, po prostu szukam...szukam opaski. Omal nie posiusiałam się w majtki. Przez ciebie!
- Przepraszam. W każdym razie Paul przyjechał, więc ja zaczynam już swoją randkę. Może nawet będziemy się kochać, he, he! - Zmusiła się do śmiechu, zarumieniła i odwróciła, pozostawiając mnie na pastwę tego obrzydliwego obrazu.

No nie! Czy wszyscy na świecie się kochają...oprócz mnie? Na myśl natychmiast przyszedł mi Connor. Zaraz, chwileczkę, czyżby minęła godzina?Odwróciłam się błyskawicznie , popatrzyłam na zegar. Trzy po dziewiątej. O cholera! Ubrałam się gorączkowo, znalazłam pantoflę, pobiegłam do łazienki zrobić sobie twarz. Na szczęście wystarczyła kredka do oczu i odrobina tuszu do rzęs, żebym wróciła do świata żywych. Sprawdziłam czas na komórce. Dziewiąta dwadzieścia jeden. W porządku, pomyślałam, teraz tylko pantofle i pół godziny na dojazd do „Ambasadora”.

Pantofle jednak, piękne czy nie, zapinałam dobre dwadzieścia minut. Nie jestem niezdara, tylko stopy nie mają się przecież skręcać w ten sposób. Kretyńskie (piękne) buty.

Zbiegłam na dół. Chwyciłam gaz pieprzowy, sprawdziłam, czy mam ze sobą błyszczyk i legitymację szkolną. Omal nie wyrwałam haczyka wbitego w ścianę szarpnięciem, zdejmując z niego klucze, tak mi się śpieszyło.

Zapał, proszę – wygłaszałam milcząca modlitwę, biegnąc ścieżką po kruchych jesiennych liściach. Wsiadłam do swojego wiśniowego mustanga z 1969 roku. Przekręciłam kluczyk w stacyjce. To supersamochód...tylko nie zawsze chce zapalić.

Brrrrrum! Sukces! Ruszyłam ulicą, przejechałam prawie dziesięć kilometrów i mój superwóz odmówił posłuszeństwa. Opuściłam głowę, kilka razy uderzyła czołem w kierownicę. Poszukałam komórki na siedzeniu pasażera. Oczywiście zapomniałaś jej wziąć, Jenna. I aparatu. Cholera! Bridget będzie wściekła. Zgarbiłam się na siedzeniu, gniotąc swoją bufiastą sukienkę. W myśli płakałam do mamy.

I zupełnie jakbym ją przywołała jakimś cudownym sposobem. Usłyszałam jej głos: „Jenn, głuptasie, skorzystaj z karty miejskiej. Kupiłam ci ją, bo twój samochód jest, jaki jest.” No tak. Przestałam płakać, sprawdziłam oczy w lusterku wstecznym. Bogu niech będą dzięki za wodoodporne tusze...i za niedalekie przystanki autobusowe. Złoty pantofli mamy nie zrobiono z myślą o chodzeniu.

Dotarłam do przystanku, stanęłam nieco z boku, z dala od trójki ludzi stłoczonych na ławce dla dwojga. Byłoby mi o wiele łatwiej i nie tak obrzydliwie, gdybym pamiętała o komórce. Przekroczyłam już granice modnego spóźnienia, wkroczyłam w krainę „masz się za zbyt dobrą, by przyjść”. A jeśli Connor tańczy z inną dziewczyną?

- To ty. - Męski głos przerwał mi tę wewnętrzną przemowę. Wspaniale. Nie minęło nawet dziesięć minut, a już zaczepia mnie jakiś autobusowy podrywacz.
- Miło mi, że tak sądzisz. - Powoli odwróciłam się do niego tyłem, całą uwagę poświęcając torebce i mojemu przyjacielowi, gazowi pieprzowemu. Muszę sprawić sobie nowy samochód.
- Nie rozumiesz.Jesteś...

Czułam, że się zbliża, więc włożyłam rękę do torebki.

- Nie przyjacielu. To ty nie rozumiesz. Jeszcze jedno słowo wypowiedziane mniej więcej w moim kierunku – wyciągnęłam

pojemnik, trzymając go tak, by nazwa Mr. Pepper była wyraźnie widoczna – a obsikam cię tym...o do diabła!

Westchnęłam tak głęboko, że spowodowałabym huragan w niewielkim kraju.

Poderwałam głowę z poduszki.

„Stań i spójrz, a zaczniesz się dziwić, dlaczego jesteś tu a nie tam”.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że z trudem otworzyłam telefon.

- Halo?
- Hej, Jenna. Dzwonię, żeby przypomnieć ci o aparacie. Musisz go ze sobą zabrać! Będziemy się świetnie bawić w hotelu na party Taylora! Po prostu nie mogę się doczekać. Jak dobrze być w ostatniej klasie. W czym idziesz?
- W czarnej sukience i złotych butach mamy.

Jak to? Co? Próbowałam jakoś odzyskać panowanie nad rzeczywistością. Bridget głęboko wciągnęła powietrze.

- Nie gadaj! Te nowe z paskiem na wysokim obcasie? To nie w porządku! Będziemy wyglądać super. Jak zawsze!
- Bridget, o co chodzi? - przerwałam jej tę gadaninę. - Czy to jakiś żart?
- Jenn, sama wiesz, że party i modę zawsze traktuję serio. Z tobą wszystko w porządku? Nie spałaś?
- No... nie, skąd, oczywiście, wszystko w porządku. Tylko właśnie cierpię na okropny przypadek *déjà vu*.

Gardło miałam suche, rozpalone i strasznie łomotało mi w głowie. Nic nie było w porządku.

- Potworność. No dobrze, oszalej, jeśli musisz, ale dopiero jutro, zgoda? Uch, poczekaj, mama coś krzyczy. - Pamiętałam jej stłumione jęki. - W porządku – mówi do mnie – mama chce tylko, żebym ci przypomniła o telefonie komórkowym. Miej go przy sobie, bo ten obrzydliwy seryjny morderca znowu kogoś zabił. Też mi coś, w końcu, Jezus, jest przecież seryjnym mordercą. Przepraszam, ale ona jest dziwna i strasznie nadopiekuńcza. Tak czy inaczej lecę, muszę kończyć robić się na bóstwo. Do zobaczenia w „Ambasadorze” o dziesiątej. Ściskam... i nie zapomnij o cyfrówce!

Zamknęłam telefon, upuściłam go na podłogę i padłam na wypchaną naturalnym pierzem miękką poduszkę.

- Co to był za cholerny sen? - spytałam sama siebie. Odwróciłam głowę, spojrzałam na zegarek. Za trzy ośma. Bardzo dziwne.
- Jenna! Nie wiesz gdzie są moje nowe złote pantofle, te z paskiem? Ledwie je kupiłam, a już tajemniczo zginęły.

Zawahałam się, patrząc na stojącą w drzwiach matkę. Otaczała ją dziwna mgła barwy wanilli. Przetarłam oczy, zamrugałam raz, potem drugi. Mgła znikła.

- Przepraszam, mamó. Mówiłaś coś?
- Pantofle. Złote. Od Saksa. Posłuchaj mnie, Jenna, jeśli je pożyczyłaś, nic się nie stało, ale naprawdę nie mam czasu na wygłupy. Paul przyjeżdża za ...– spojrzała na zegarek – ...za mniej niż godzinę. Więc?
- No...nie, nie widziałam ich.
- No...więc jeśli zobaczysz, daj mi znać.
Zdziwiona mama przyglądała mi się, marszcząc czoło.
- Co?
- Nie, nic, tylko przez sekundę wyglądałaś jakby trochę inaczej. Baw się dobrze i aha, pamiętaj o gazie pieprzowym. Pojemnik stoi przy drzwiach.

Siadłam na łóżku, gapiąc się na drzwi. To był tylko sen. Bardzo dziwny i raczej straszny. Załóżę się, że jeśli dłużej będę o tym myślała, zacznę grać w pokera z bobrem i Abe'em Lincolnem jak w tej reklamie środka na bezsenność.

Au! Białe światło przeszło mi mózg, wraz z nim pojawił się obraz i wspomnienie. Niewiarygodnie wyraźnie zobaczyłam faceta na przystanku autobusowym, dwa słowa zdawały się krzyczeć, rozsadzając mi głowę.
„ZNAJDŹ MNIE”.

Co do diabła? Podniosłam kołdrę, by sprawdzić czy ciągle mam wszystko co trzeba i czy jestem ubrana. Żadnych zmian nie stwierdzono. Co się dzieje?

Za moimi plecami rozległ się głos. „Dziwisz się, dlaczego jesteś tu, a nie tam.”

Pochyliłam się, podniosłam telefon z podłogi. Connor. Jak wtedy. Tym razem stuknęłam klawisz „odrzucić”, a potem jeszcze przestawiłam komórkę na tryb cichy. Może powinnam napić się wody? Może to dehydratacja? Wstając z łóżka, poczułam, poczułam, że coś kłuje mnie w stopę. Wzięłam do ręki okulary w złamanej oprawce, właśnie zdołałam je rozdeptać. Zaraz, chwileczkę. Przecież nie powinnam widzieć! Wsadziłam palec w oko. Nie założyłam szkieł kontaktowych. Jakieś dziwne to déjà vu, że leczy ze ślepoty kogoś ślepego jak nietoperz.

Przyjrzałam się sobie w łazienkowym lustrze. Czy tak wygląda człowiek, który właśnie oszalał? Co do diabła? Do diabła, do diabła, do diabła?!

- Jenna, napij się wody i weź ekstramocny tylenol – rozkazałam sobie głośno z nadzieją, że sam dźwięk własnego racjonalnego głosu przywróci zdrowie psychiczne.

Minęłam pokój mamy i przez otwarte drzwi usłyszałam dziwnie znajome słowa.

- Hej, Paul przyjechał, więc ja zaczynam już swoją randkę. Może nawet będziemy się kochać, heh, he!

Przebiegła koło mnie, a ja aż się skurczyłam. Za drugim razem wcale nie brzmiało to lepiej. Popatrzyłam na wiszący na ścianie zegar. Trzy po dziewiątej.

Ulgę przyniosła mi czynność tak prosta jak wyjęcie szklanki z kuchennej szafki. Moja szafka, moja zwykła normalna szafka. Woda z mojej umywalki, zwykłej normalnej umywalki. Chłodny jesienny wiatr wiał przez na wpół otwarte okno, niosąc znajomy zapach liści. Zupełnie jak przedtem. Jak wtedy, kiedy szłam do samochodu. Przeszłość znów zaatakowała mój mózg, w rozbłysku jasnego światła pojawiła się kolejna bolesna wizja. Upuszczona szklanka rozbiła się na tysiąc kawałków, zasypując mi stopy okruchami kryształu.

„ZNAJDŹ MNIE!”. Ten głos. Jego głos. Brzmiał gwałtowniej, bardziej niecierpliwie, a towarzyszyły mu fragmenty obrazów z przystanka autobusowego.

I wówczas odgadałam. Nie wiedziałam, jakim cudem, nie wiedziałam dlaczego, ale wiedziałam, że on tam na mnie czekał.

Nawet nie zauważyłam, że z moją stopą stało się coś złego, zorientowałam się dopiero na górze, zakładając pantofle. Wstrząsnął mnie widok tkwiących w pięcie odłamków szkła. Krew plamiła puszysty zielony dywan. Bezboleśnie wyciągnęłam okruchy, podniosłam kilka do oczu. O cholera! Moja krew wcale nie była moją krwią, już nie. Już nie była jaskrawoczerwona, nie pachniała miedzią, teraz była matowobursztynowa, a jej słodki zapach odprężał, sprawiał, że czułam się bezpieczna jak w domu.

Muszę znaleźć faceta, który siedzi mi w głowie, postanowiłam.

Stopa wygoiła się całkowicie, nim zdążyłam założyć tenisówki Coach, zbiec po schodach i wypaść przez drzwi. Czy jestem jak ta dziewczyna z „Herosów”? Ta, która potrafi uzdrawiać się raz za razem?

Doszłam do schodów i zawahałam się.

- Jenna, prowadzenie samochodu może nie być najlepszym pomysłem. Jakby mała była dziwnej poczty głosowej w głowie, to jeszcze wydarzenia tego wieczora niesamowicie się powtarzają, więc niby dlaczego samochód miałby działać normalnie? - Już dawno odkryłam, że mówienie do siebie pomaga mi rozwiązywać problemy. Doskonale potrafię słuchać.
- Gdzie jest usłużny sąsiad, kiedy się go potrzebuje? - Rozejrzałam się ale dżentelmeni dawno wymarli, w każdym razie w moim sąsiedztwie.
- Aaaach! Ludzie, ja tylko chcę być na przystanku! - Dostałam napadu dziecięcej wściekłości, tupałam jak rozkapryszony maluch w sklepie z zabawkami. Nagle moje ciało przeszył wiatr, trochę tak, jakbym spadała z wysokiego budynku, a kiedy już zapanowałam nad skrzywioną twarzą i otworzyłam oczy, okazało się, że jestem dokładnie tam, gdzie chciałam się

znałość, na tym pieprzonym przystanku autobusowym. I, że siedzę na tyłku pośrodku chodnika.

- No, to już bardzo nie w porządku!
- Hej, hej, o cholera! - krzyknął znajomy męski głos.
- Ty! - Cofnęłam się poprzez kałużę własnej bursztynowej krwi zdumiona tym, że czuję tylko podniecenie, ani odrobiny bólu, mimo tak gwałtownego kontaktu z betonem. - Kompletnie oszalałam, i to wszystko przez ciebie! Odwróć to!

Chwycił moje wymachujące na wszystkie strony ręce, chciał pomóc mi wstać i w tym momencie poczułam powiew uspakającego jesiennego powietrza. Otworzyłam oczy superszeroko, jak nigdy, i zapatrzyłam się w niego nieprzytomnie.

- Wszystko w porządku? - spytał, przechylając głowę. On też przyglądał mi się bardzo uważnie.
- Ja...zdaje się, że krwawię. - Przesunęłam ręką po głowie, z tyłu poczułam wilgoć na potarganych włosach. Nie czułam rany, nie czułam bólu, tylko to, że włosy mam dziwnie pokręcone i mokre. - Pomyślałam nawet, że... Uśmiech miał leniwy i nieco kpiący. Właściwie nawet bardzo kpiący. Potrząsnął głową.
- To co mogłabyś sobie pomyśleć, nie ma nic wspólnego z prawdą.
- Co? - spytałam, okazując niezwykłą bystrość. W porządku, chłopak był taki po prostu wspaniały, że aż nie mogłam przez niego myśleć. Wysoki, blondyn, po prostu wspaniały. Skóra żywcem zdjęta z Justina Hartleya. Mniam, mniam.
- Alek. - Chłopak cofnął się na tyle, by wyciągnąć rękę na przywitanie.
- Mam na imię Alek i chcę, żebys mi zaufała. Nie wiedziałam, co zrobić, oszołomiona i zgnębiona podałam mu rękę, jednocześnie robiąc co w mojej mocy, by jak najbardziej uroczo odrzucić włosy.
- Jestem Jenna – powiedziałam. Jesienne liście tańczyły wokół mych stóp.
- Jenno, musisz pójść ze mną. Patrzył na mnie nieprawdopodobnie zielonymi oczami.
- Och, nie muszę... Objął mnie swymi dłońmi, ciepłymi, mocnymi; był to jedyny dotyk rzeczywistości od czasu, gdy zaczął się ten koszmar.
- Musisz pójść ze mną – powtórzył . - Zaufaj mi. Powiem ci wszystko po drodze.

Pora wyjaśnić, że znam oczywiście tę starą śpiewkę o przyjmowaniu zaproszeń od obcych, ale zrozumcie, wśród tego całego nonsensu wyłącznie on miał sens. Wiem, jak dziwnie to brzmi, lecz mnie wydawał się całkowicie na miejscu. Wiedziałam, że mogę mu ufać bez zastrzeżeń. Tak jak wiedziałam z góry, że tu na mnie czeka.

No i dobrze, jasne, oczywiście nic nie mogłam poradzić na to, że jest taki wściekle seksowny.

- Dobrze pójdę z tobą, ale tylko dlatego, że prawdopodobnie to wszystko mi się śni.

Uśmiechnął się i gestem poprosił, bym poszła za nim. Prawie biegłam, próbując nadążyć za jego wielkimi krokami, a jednocześnie próbowałam rozplątać włosy, nie spuszczać oczu z jego zgrabnego tyłeczka. Mogłabyś odbijać od niego ćwierćdolarówki jak od ściany, pomyślałam i jeszcze: O Boże, przecież tak by powiedziała matka! Jeśli nie to jest obrzydliwe, to co jest? Omal na niego nie wpadłam, kiedy nieoczekiwanie zatrzymał się przy trawiastozielonym samochodzie.

- Co to? - spytałam.
- Chevrolet Caprice z siedemdziesiąt szóstego – powiedział, otwierając mi drzwi .
- Wygląda jak wielkie zielone lody na patyku.
Wślizgnęłam się na fotel pasażera kryty białą skórą, oszołomiona wspaniałością klasycznego sportowego samochodu, a chłopak tymczasem obszedł go i usiadł za kierownicą. Już miałam otworzyć usta, by oznajmić, że ja też uwielbiam klasyczne samochody, kiedy nagle pochylił się i chwycił mnie za ramię. Patrząc mi wprost w oczy, powiedział:
– Nic ci się nie śni. Nie żyjesz.

- Nie żyję? - próbowałam się od niego odsunąć. - Co to do diabła?
Serce biło mi tak, jakby miało zamiar wyskoczyć z piersi. Zamiast pozwolić mi zachować dystans, Alek się do mnie przytulił, wziął mnie w ramiona.
- Zaufaj mi – powtórzył. - Pozwól, żebym ci pokazał.

Zupełnie jakby jego głos był jakimś narkotykiem, poczułam, że się w nim roztapiam. Westchnęłam i w jego ramionach uleciałam ponad samochód w kolorze galaretki. Otoczyły mnie białe iskierki światła. Spojrzałam na Aleka płynącego w powietrzu obok mnie. Oczy płonęły mu czerwienią niczym wschodzący jesienny księżyc.

Widziałam je takie wcześniej...na przystanku autobusowym. Powoli, powoli zaczynałam sobie przypominać. Żeglowaliśmy przez cały czas pod prąd, do chwili kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy.

Alek przemówił, szepcząc mi do ucha, a jego głos był jak mgła.

- Przysłano mnie, żebym cię ocalił. Patrz....pamiętaj...

Patrzyłam w dół. Widziałam wszystko. Oto ja w skąpej czarnej sukience i równie wspaniałych jak i niewygodnych pantoflach mamy, nadaśana, ponura, skarżąca się na los, czekająca na autobus. Trójka ludzi stłoczona na wąskiej ławeczce. I Alek pojawiający jakby znikąd. Spojrzałam na Aleka unoszącego się tuż obok, trzymającego mnie w ramionach. Jego oczy nadal płonęły czerwienią i to mnie ucieszyło, choć pytania wręcz paliły mi wargi.

Patrz...pamiętaj...

Znów spojrzałam w dół i tym razem dostrzegłam siebie celującą pojemnikiem z gazem pieprzowym w twarz aleka. W te oczy, tak czerwone teraz, jak były czerwone wtedy. Widziałam, że coś do niego krzyczę, a jednocześnie cofam się o krok.

I wtedy wysoki obcas wspaniałych pantofli mamy zeslizgnął się z krawężnika i ku własnemu przerażeniu zobaczyłam, jak macham ramionami, próbując odzyskać równowagę, przewracam się i uderzam głową w beton z obrzydliwym trzaskiem.

I tyle. Leżałam nieruchomo otoczona przez czekających na autobus ludzi, którzy najoczywisciej w świecie nie wiedzieli, co robić. Alek przeszedł przez nich był jak cień w ciemności. Nikt go nie widział, kiedy pochylał się nad moim bezwładnym ciałem i szeptał : „Twoja śmierć to dar od starożytnych przekazany ci przeze mnie. Zostałaś wybrana. Jestem twoim nauczycielem”. A potem pochylił się jeszcze niżej, przykrywając moje martwe usta swoimi ustami.

No dobrze, to się tak działo, a jednak się nie działo. Tam, na dole, biegali ludzie, dosłownie przechodzili przez niego, kiedy mnie całował.

Oni go nie widzieli, ale ja czułam. To co wówczas czynił z moim martwym ciałem, czułam teraz w moim duchu unoszącym się w powietrzu. Piłam życie, wypierając śmierć. Powinnam być przerażona, powinnam krzyczeć, zemdleć, odpychać go od siebie z całej siły, lecz tylko zamknęłam oczy i pozwoliłam duszy wchłonąć, co widziałam, przyjełam jego dar, wiedząc, że mój świat nigdy już nie będzie taki sam.

Otworzyłam oczy. Siedziałam w samochodzie, tuląc się do piersi Aleka. Z jego muskularnego ciała nie dobiegał żaden dźwięk, nie słyszałam oddechu, bicia serca. Odsunęłam się, spojrzałam mu w oczy.

– Czy ty w ogóle żyjesz?

Z moją głową działo się coś dziwnego, coś mi w niej szumiało, coś było nie tak.

– Jestem tak żywy jak ty – powiedział. - A ty się zmieniłaś. Jesteśmy inni. Zwykle nazywają nas wampirami.

– Wampirami? - pisnęłam. - Będę musiała pić krew? - Na samą myśl o krwi zaczęłam się dławić. Alek roześmiał się cicho.

– My nie pijemy krwi, pijemy energię.

– O Boże! Żywimy się elektrycznością? - Rozpaczliwie próbowałam sobie przypomnieć, co robiła ta dziewczyna z powtórki „Aniołów” załatwiająca sprawy naładowanymi elektrycznością dłońmi. Alek nadal obejmował mnie w pasie mocnymi ramionami; prze głowę przeleciała mi myśl, że nie powinny być takie ciepłe, skoro jest martwy. Oboje jesteśmy martwi.

– Nie, to też nie tak – powiedział. W oczach miał uśmiech. - Sama zobaczysz.

Jego usta tuż przy moim uchu...pocałuj mnie, pocałuj ...Uśmiechnął się szerzej, a ja poczerwieniałam. Czyżby potrafił czytać w myślach?

– Więc do siebie pasujemy? - wyjąkałam.

Co też strzeliło mi do głowy! Zachichotał. Cofnęłam się, zajęłam swoje miejsce na siedzeniu pasażera. Jakie to przygnębiające. Czułam w sobie nieznaną siłę, nowe

możliwości, a jednak pozostałam osiemnastolatką, niezdarną, niezdolną zdobyć chłopaka.

– O co ci chodzi?

Alek wyjął z kieszeni kluczyki. Włączył silnik. Byłam pewna, że przez jedną krótką chwilę na jego twarzy zagościł wyraz zawodu. Czy pocałowałby mnie znowu, gdyby najpierw nie zachowywała się jak kompletna idiotka, a później nie przeskoczyła obrażona na swoją stronę samochodu?

- Chodzi mi o to, że...nooo...że do siebie pasujemy. - Próbowałam zachowywać się swobodnie, energicznie, żeby było jak było, nim udało mi się wszystko zepsuć. - Oboje jesteśmy silnymi, nieustraszonymi stworami nocy wysłanymi tu, by robić...no...różne rzeczy. A właściwie co powinniśmy robić?
- Każdy z nas ma inne zdolności. - Odchrząknął, a ja zastanowiłam się przelotnie, ile razy musiał prowadzić podobną rozmowę w przeszłości. - Ja potrafię zakłócać czas. Dzięki temu przeniosłem cię na przystanek autobusowy, bo strasznie się spóźniłaś i sama nie dotarłabyś tam w porę. I obudziłem cię dziś po raz drugi. To możesz nazwać chyba efektem ubocznym. Nie jestem pewien, co ty potrafisz, ale z pewnością szybko odkryjesz to sama. Z nami wszystkimi jest tak samo, tylko inaczej. Musisz znaleźć własną drogę. Przysłano mnie tam z dołu...
- Z piekła? - przerwałam mu. - Pochodzisz z piekła?
- Nie. A przynajmniej nie z takiego piekła, jakie potrafisz sobie wyobrazić. Słuchaj, przysłano mnie tu, zeby ci pomógł mścić się na jednych dla ocalenia innych.
- Tak jak ty mnie ocaliłeś?
- No, może trochę. - Westchnął i znowu odchrząknął. - No więc są starożytne monstra, których duchy uwięzione zostały w podziemiu, ale część z nich potrafi uciec. Czasami. A kiedy już uciekną, ich jedynym celem jest znaleźć ciało i szerzyć taki chaos jak wieki temu. Jestem pierwszy z mojego rodzaju...z naszego rodzaju...stworzony do odnalezienia ich i odesłania, gdzie ich miejsce. Więc jesteśmy trochę jak...
- Superbohaterowie? Pogromcy potworów? - Do diabła, kim ja jestem dzieckiem?

Alek roześmiał się głośno.

- Chyba można tak powiedzieć. W każdym razie wiem, dokąd cię zabrać, a stamtąd będziemy już mogli zacząć. Od początku.

Zacząć od początku? Nie zabrzmiało to szczególnie zachęcająco. Wyglądałam przez okno. Próbowałam się teleportować, przesuwać rzeczy siłą woli, kiedy nagle dostrzegłam odbicie swych oczu. Nie były normalne, zwykłe, brązowe, lecz błyszcząły jasno, bursztynowo. No pięknie! Mijaliśmy gromadkę ludzi wychodzących z kina po

wieczornym seansie i wtedy to zdarzyło się znowu.

- O mój Boże, już wiem! Przedtem myślałam, że wariuję, ale to naprawdę była ta moja ukryta moc. Kręciło mi się w głowie. Spojrzałam na Aleka, oczekiwałam, że zrozumie mnie w pół słowa.
- I jaka jest ta twoja ukryta moc?
- Widzę różne rzeczy.. - Było jak z moją mamą wtedy, gdy ten dziwny waniljowy dym unosił się wokół niej. Pochyliłam się w stronę chłopaka, pokazałam mu palcem grupę ludzi.- Na przykład wiem, że ta dziewczyna w różowym rozpinanym swetrze i naprawdę fajnych botkach na futerku jest strasznie zakochana, bo widzę wypływające z niej ciemnoróżowe pasma. Och, nie – wskazałam faceta, który stał na rogu, trzymając w ręku szyld z napisem: „SZUKAM PRACY ZA JEDZENIE”. - Dym wokół niego jest okropny, brązowy. Hej! On ma raka! - Przerwałam, pomyślałam i wiedziałam już na pewno. - Ma raka płuc. Umrze. Niedługo. - Zadrzałam.

Nie byłam pewna, czy podoba mi się ten mój nowy dar. Poprawiłam się w siedzeniu, znów wyjrzałam, patrzyłam na tęczowe chmury dymu tańczące wokół ludzi, zwijające się na jesiennym wietrze. Wiedziałam rzeczy, których po prostu nie powinnam wiedzieć.

- To dobrze. Już zaczęłaś się uczyć. Ale to dopiero początki. Zamknęłam oczy. Odetchnęłam głęboko, spazmatycznie. Wszystko jest w porządku...wszystko jest w największym porządku...
- Jesteśmy na miejscu.

Alek wyłączył silnik. Otworzyłam oczy, spodziewając się, że zobaczę jakieś niesamowicie ciemne doki albo mroczną alejkę, lecz nie. Byliśmy gdzieś na przedmieściach, staliśmy przed ceglany domem. Po jego prawej i lewej stronie stały identyczne ceglane domy.

- Chyba kpisz! To ma być kryjówka potworów? Tu mam walczyć ze zbrodnią?
Alek zdążył już wysiąść z samochodu. Pospieszyłam za nim, niemal biegnąc, takie stawiał wielkie kroki tymi swoimi długimi nogami. Minęliśmy doskonale mi znanego SUV-a.
- Hej! - zaprotestowałam. Odwrócił się, gestem nakazał mi zachować ciszę. Zniżyłam głos. – Przecież tu stoi to głupie stare isuzu Paula. Paul spotyka się z moją mamą. Nie mogę się mylić, popatrz. - Wskazałam okno. - Nawieszał na lusterku wstecznym chyba z pięćdziesiąt tych okropnych choinek, odświeżaczy powietrza, bo pali w samochodzie, a nie chce, żeby mama się zorientowała.

Aleka najwyraźniej w świecie wcale to nie obchodziło. Podszedł do bocznych drzwi, a ja znów musiałam strasznie się śpieszyć, żeby za nim nadążyć, i omal nie potknęłam się na schodach.

- Wchodzimy – powiedział.

- Co? Cholera, mowy nie ma! Nie słyszałeś, co mówię? To dom Paula i ja tam do środka nie wejść, nie ma mowy. Twój wykrywacz potworów źle działa. A poza tym on akurat jest na randce z mamą, popatrz tylko, w żadnym oknie nie pali się światło! Pewnie wcale ich tu nie ma...albo jeszcze gorzej. Fuj! Mogą być w...

Alek zasłonił mi usta jedną ręką, a drugą przyciągnął mnie do drzwi.

- Nie czujesz? - spytał, nie puszcżając mego ramienia. Tak bardzo chciałam, żeby mnie do siebie tulił jak wcześniej.

Nagle przez drzwi przedarła się zimna, leniwa fala strachu, otoczyła wstęgami mą rękę. Próbowalam się cofnąć, lecz Alek do tego nie dopuścił. Obok strachu pojawił się gniew i obrzydzenie, ich gorące szpony ryły mi skórę, choć ślady pozostawiały wyłącznie w umyśle... lub na duszy.

- Wchodzimy do środka – powtórzył, puszcżając mnie. - Miałaś mi zaufać, pamiętasz ? Będę cię chronił.

Umilkł. Oboje w jednej chwili znaleźliśmy się po drugiej stronie drzwi. Naprawdę wolałabym, żeby mnie ostrzegął, nim zacznie skakać z miejsce na miejsce. Lekkim szturchnieciem popchnął mnie w stronę drzwi ...i rzeczywistości, której tak bardzo chciałam uniknąć. Jak duchy bezszelestnie wślizgnęliśmy się na piętro, a z każdym krokiem duszący smród strachu – dymu – był coraz silniejszy, aż omal od niego nie zwymiotowałam.

Alek wyprzedził mnie na samej górze. Odetchnęłam, choć jak najciszej. I dobrze. W końcu to on był moim obrońcą. Poza superzdolnością przeskakiwania z miejsca na miejsce i całowania mnie, aż stałam się jakimś niesamowitym gatunkiem wampira, z pewnością jest też co najmniej równie supersilny jak superseksowny, więc niech idzie przodem. On już potrafi sobie poradzić z każdym czającym się w ciemności starożytnym potworem.

Weszliśmy do pokoju, gdzie jedynym meblem był metalowy stół z rodzaju tych, na których przedsiębiorcy pogrzebowi układają zwłoki. Czuć tu było chłód, śmierć i zapach środka dezynfekującego, połączone w czerwone i białe wstęgi dymu, który natychmiast podrażnił mi oczy. Rozejrzałam się zdumiona tym, jak łatwo wzrokiem przenikam ów dym i mrok.

I właśnie w tym mroku zobaczyłam kręcone, brązowe włosy. Wskoczyłam zza pleców mojego obrońcy, podbiegłam do matki.

- Mamo? - Cisza żywym ogniem paliła mi uszy. - Mamo! Mamusi! Łagodny, waniliowej barwy dym widziany wcześniej niemal całkowicie tłumity pasma koloru rdzy, bezradności, paniki; strach mnie prawie oślepił. Łzy spływały mi po policzkach, gardło miałam boleśnie suche.
- Słuchaj, ona się nie rusza. Nie wiem, co się z nią stało!

Alek natychmiast się zmaterializował przy mym boku. Przetarłam oczy, osuszyłam łzy, odetchnęłam przez tę nieziemską mgłę. Widziałam, jak podnosi bezwładne ciało mojej matki, tak nienaturalnie nieruchome, tak bezbronne, że na jego widok skręcały mi się wnętrzności. Mama nigdy nie była bezbronna! To nie może być prawda!

- Oddycha – uspokoił mnie. - Jestem pewien, że nic jej nie będzie. Jak w kiepskim horrorze w tej chwili właśnie pojawił się drapieżca.
- No proszę, mamy imprezę. Jenno, ani słowem nie wspominałaś, że lubisz patrzeć. Da się to załatwić bez problemu. Lubię widownię.

Podchodzący do mnie mężczyzna wyglądał jak Paul, którego znałam zaledwie przelotnie, lecz nagle wzrok mi się wyostriżył, ciało Paula zadrżało niczym powietrze nad szosą w upalny dzień i poznałam jego prawdziwą formę. Dym, to wchłaniany przez jego ciało, to z niego wypływający, był wręcz potworny. Obnażał jego nagie, czyste zło, przynajmniej dla mnie pozbawione najbardziej skąpej zasłony. Widziałam tego chorego potwora, którym rzeczywiście był.

Dusze jego pomordowanych ofiar wywrzaskiwały swą mękę fioletoowymi pasmami ulotnego cierpienia, próbowały się wydostać na wolność, pazurami szarpiąc szare ciało. Wpatrzone we mnie oczy, choć spojrzenie miały nieruchome, wiły się w oczodołach, siedlisku ohydnych pasożytów.

Fioletowa maź łgarstw wyciekała z wyschniętych ust, przerażając ziemię, na którą upadła.

Moja nowa moc pozwoliła mi nazwać go właściwym imieniem: Alastor. Grecki demon wiodący ludzi do grzechu i morderstwa.

Seryjny zabójca. Polował na moją mamę.

Zatrzymał się, a jego ciało zadrżało i znów zmieniło formę, stało się ciałem tego Paula, który oszukał mnie, każąc mi wierzyć, że zależy mu na mamie.

- Kto pierwszy? Ona czy ty i twój przyjaciel?
Świadomość, na czym polega mój dar, uderzyła mnie z siłą ciosu. Spojrzałam na Aleka i tak pewnie, tak stanowczo, że zaledwie rozpoznałam swój głos, rozkazałam:
 - Zabierz ją stąd. Zadzwoń pod dziewięćset jedenastcie.
 - Po czym odwróciłam się i całą uwagę skupiłam na demonie.
 - Co powiesz na to, żeby zacząć ode mnie, ty dupku?

Mówiąc te słowa, szeroko rozpostarłam ramiona, a pasma uczuć, unoszące się o wirujące po pokoju, zbiegły się we mnie i zawirowały, wypełniając me ciało niezwykłą wyczuwalną mocą. Poczułam, jak pochłania ono mroczne uczucia unoszące się wokół Alastora, poznałam gniew, nienawiść i straszną siłę czystego zła. W ustach wyrosły mi zęby, o których istnieniu dotychczas nie miałam pojęcia. Cała aż wibrowałam od wchłoniętych właśnie emocji. Nie myślałam, tylko czułam i działałam. Rzuciłam się na człowieka, któremu zaufała moja matka, chwyciłam go

obiema dłońmi za gardło, spróbowałam zerwać z niego osłonę ciała. Nigdy jeszcze nie czułam się taka dzika i tak wolna. Dobrze było czuć, jak jego ciało się rozdziera, widzieć, jak oczy wychodzą mu z orbit, słyszeć, jak jęczy ze strachu. Nasycalo mnie to, wypełniało ciemnością, pragnęłam tylko jednego: rozerwać go na strzępy.

Ale nim zdołałam spełnić swe pragnienia, oderwał mnie od niego Alek. Rzucił mną o ścianę tak mocno, że gdybym żyła, z pewnością bym umarła. Nim otrząsnęłam się z szoku, on już zakończył sprawę. Skręcił Paulowi kark. Potraktował go zdecydowanie zbyt łagodnie. Zaatakowałam go więc tak gwałtownie, że stracił równowagę, musiał się cofnąć. Kły przecięły mu dolną wargę, a bursztynowa krew spływająca mi na język tylko dołała oliwy do ognia. Wściekła patrzyłam, jak Alek próbuje odzyskać równowagę.

Nie, nie uderzył mnie, tylko objął i przytulił mocno, wypełnioną gniewem po brzegi. Nie rozluźniał uścisku, a delikatny szmer w jego piersi i dobywający się z niego zapach jesiennego powietrza były jak chłodny deszcz padający na wyschniętą od letniego upału ziemię. Kiedy opuściła mnie nienawiść, byłam tak słaba, że zaczęłam płakać.

- Nie możesz sobie pozwolić na utratę kontroli – wyjaśnił. – Właśnie stąd biorą się przerażające opowieści o wampirach, dlatego pełno nas w tanich horrorach i w ludzkich koszmarach. Kiedy tracimy kontrolę, dzieje się z nami właśnie to. Nasza moc podporządkowuje nas sobie i stajemy się potworami, które mamy przecież zwalczać. - Pożywiłaś się nim, niech ci to wystarczy. Nie pozwól, by cię skalał. Musisz nauczyć się zatrzymywać energię, ale pozbywać zła. Jego duch trafił tam, głęboko, w miejsce o wiele gorsze, niż byłabyś w stanie sobie wyobrazić. Niech ci to wystarczy. Spojrzałam na Aleka i nagle zrozumiałam.
- Nazwałeś mnie swoim obrońcą, ale tak naprawdę nie jesteś tu po to, by bronić mnie przed nimi, tylko by bronić mnie przede mną samą?
- Tak, masz rację. To jak, lepiej się już czujesz? Znów jesteś sobą?

Głos miał taki głęboki, taki nieprawdopodobnie miękki, a wzrok tak ciepły, że po prostu zatraciłam się w jego oczach. I wówczas dostrzegłam otaczającą go mgłę, jasną, lśniącą, bursztynową, identycznej barwy jak moja krew. Przypomniała mi o czystym jasnym świetle, o nowym początku. Pasma złota otoczyły mnie, otoczyły nas i już nie mogłam wytrzymać. Podeszłam do niego cichutko, pocałowałam go w usta. Zielone oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia, po czym Alek pochylił się i oddał mi pocałunek. Wtuliłam się w niego, był moją kotwicą, esencją istnienia, obrońcą.

- Co się dzieje, Jenna?

Słaby głos mamy sprawił, że odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni. Podbiegliśmy do niej; leżała blisko, tuż obok pokoju śmierci. Czułam za plecami obecność Aleka, osłaniającego przed jej wzrokiem to, co niegdyś było Paulem.

- Wszystko w porządku, mamó. Wszystko będzie dobrze – powiedziałam, wyciągając rękę, dotykając jej. Westchnęłam z ulgą widząc otaczającą ją waniliową mgłę, znów jasną, śmietankową, zdrową, pozbawioną najmniejszego śladu śmierci.

Alek pozostał przy moim boku, trzymając mnie za rękę, chroniąc, dodając mi sił i nie pozwalając, by obezwadniły mnie pasma gorączkowego pośpiechu, bólu oraz strachu, które pojawiły się na miejscu wraz z policją, pogotowiem i sąsiadami kręcącymi się przed domem jak stado przestraszonych owiec. Podprowadził mnie do mamy poprzez chaos niewidzialny dla nikogo, dla mnie zaś mający postać mgły we mgle, tak gęstej i wirującej, że aż kręciło się od niej w głowie. Mama w pełni odzyskała przytomność. Na głowie miała wielkiego brzydkiego guza i była to jedyna pamiątka po nieprzyjemnej przygodzie. Trochę się martwiłam, póki nie usłyszałam, jak mówi że wystarczy jej parę pastylek alprazolamu ze szklanką wina, żeby poczuła się lepiej i od razu wróciła do domu.

- A ty młoda damo, możesz pojechać z mamą, jeśli chcesz – powiedział do mnie sanitariusz, kwitując uśmiechem pomysł mamy, by silny środek psychotropowy popijać alkoholem.
- Już....już idę.

Odwróciłam się i spojrzałam na Aleka. W jego zielonych oczach dostrzegłam przyszłość tak różną od wszystkiego, co mogłam sobie wyobrazić, że aż onieśmielającą.

- Wiesz...raczej z nią pojedę...no...w końcu jest ranna...- roześmiałam się naerwowo. - Oczywiście byłeś...no wiesz.. Nie czekał aż skończę bełkotać, przerwał mi pocałunkiem. Wokół moich stóp zatańczyły liście, wiatr rozwiął zlepięte włosy.
- Wiem. - Jego oddech połaskotał mnie w nos.
- Pojedę z wami. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Wsiadłam do karetki. Patrzyłam na jego zgrabny tyłeczek, kiedy szedł w stronę swego jaskrawozielonego samochodu. Przystanął obok niego, podniósł wzrok.
- Hej! - zawołał.– Wydaje mi się, że jednak miałaś rację. Pasujemy do siebie. Uśmiechnęłam się głupio. Sanitariusz zamknął drzwi, karetka ruszyła, a mama zaczęła mnie oczywiście wypytywać, kim jest ten „wysoki

chłopak”. Wymyślałam naprędce odpowiedzi, pilnując, by były w miarę sensowne, no i żeby nie wpędziły mnie w kłopoty. Przez małe okienko obserwowałam otaczające karetkę miękkie bursztynowe pasma prowadzące mnie, chroniące, obiecujące mi całkiem nowe życie.

By: [fistaszek93](#)

< klik> ---->

fistaszek93